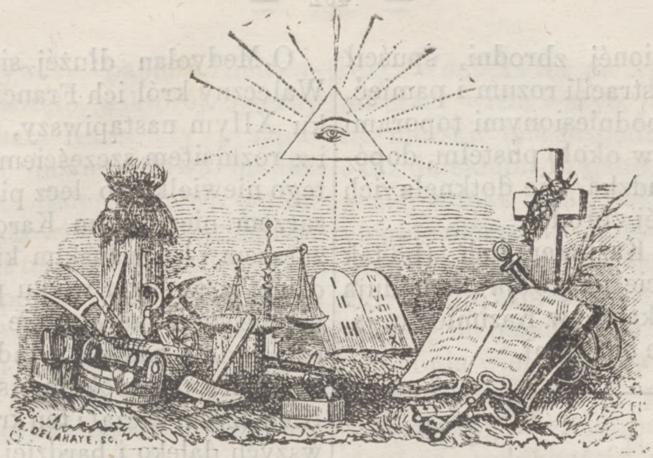
№ 51.

WARSZAWA

22 Grudnia

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Pustelnicy pod Kazimierzem.— Włochy IX.— Gawędy warsztatowe: O szkółkach wieczornych dla młodzieży rzemieślniczéj.— O wpływie lasów na zmniejszenie upałów i zimna.— Przed wrotami, poezya. Różności: Tomasz Potocki, Uchwały obywateli Prużańskich, Święcenie niedzieli w Lublinie, Kalendarz Ludowy, Gazeta Rolnicza.*

PUSTELNICY POD KAZIMIERZEM.

Niedaleko od Konina, w lesistéj i piaszczystéj okolicy, leży miasteczko Kazimierz. Za dawnych czasów, za sławnego króla Polskiego Bolesława Chrobrego, były tu nieprzebyte puszcze. Zajeżdżał też do nich na łowy ów król waleczny i sprawiedliwy, i tam gdzie dziś jest wieś Gosławice, sadowił się z dworem swoim na zamku; wielką stadninę swych koni miewał wtedy na błoniach, przy rzece Warcie w téj okolicy, gdzie później założył miasto, które nazwał Koninem, niby od tego, że się tam jego konie pasały. W téj tedy puszczy za owych czasów mieszkało pięciu braci: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Mieszkali oni w pustelni i pracowali nad zbudowaniem kościoła: zbierali z pól kamienie i obrabiali je gładko, w kostkę. Z tych to kamieni postawiono potem, stojącą do dziś, piękną farę Kazimierską. Widać w niéj pomiędzy cegłami, owe kamienie, ociosane rękami świętych pustelników.

Zdarzyło się raz, iż król polując w puszczy, wstąpił odwiedzić pustelników. Był zaś król ten wspaniałego serca i hojnéj ręki, o czem jeszcze z Gniezna wiedzieli służalcy dworscy, więc byli pewni, że bez obfitéj jałmużny, nie opuści tych świętych braci. I stało się tak, król znaczne skarby ofiarował pustelnikom; ale ci poślubiwszy życie w ubóstwie, nie mogli tych skarbów zatrzymać i odesłali je królowi.

Tymczasem służalcy chciwi złota, odłączyli się od orszaku królewskiego i napadli pustelnią. Święci bracia oświadczyli im, jako żadnych skarbów nie posiadają, że są ludzie pobożni co na chwałę Boską tylko pracują! Nic to nie pomogło, zbrodnicza tłuszcza wciąż się dopominała złota i przez męczarnie, na które wzdryga się każda dusza ludzka, pragnęła wydobyć zeznanie o ukryciu skarbów. Nakoniec, gdy wszystkie mąk rodzaje wyczerpali już siepacze, a napadnięci bracia wciąż świadczyli jedno, jako są ludzie pobożni i chwała Boska jedynym jest ich skarbem, z obawy, aby występek ten nie stał się głośnym, wzięli się do toporów i zamordowali świętych w pustelni. Ale

natychmiast po spełnionéj zbrodni, spuścił Bóg na nich opętanie: stracili rozum i pamięć, i tak w obłąkaniu, z podniesionymi toporami gonili jeden drugiego w około pustelni, dopóką sprawiedliwość ludzka nie dotknęła ich na miejscu popełnionéj zbrodni.

Sceny z życia braci Kazimierskich (bo tak tych świętych pospolicie nazywają), znajdują się dotąd na ścianach kaplic w Kazimierzu, jaskrawemi odmalowane barwami.

WŁOCHY.

IX.

Ku końcowi piętnastego wieku zaczęły się znów obce państwa do spraw włoskich mieszać, i ujrzeli Włosi długo niewidziane zastępy wojsk zagranicznych. Byli to tym razem Francuzi, których królowie rościli sobie prawa do sukcessyi, to na królestwo Neapolitańskie, to na księstwo Medyolanu. Długie ztąd wywiązały się wojny. Szybko zawsze Francuzi do Italii wpadali i z pierwszego impetu czynili bez oporu co chcieli, ale się nigdy długo utrzymać w tym kraju nie mogli, żadnéj w nim dla siebie życzliwości nie znajdując. Po pierwszych zaraz ich powodzeniach, łączyli się przeciwko nim włoscy książęta, którym pomagali to Hiszpanie, to Szwajcary i kończyło się na tem, że choć i z honorem, ale musieli Francuzi, od przemagającéj liczby do koła będąc zagrożeni, z nieprzyjaznéj ziemi ustępować. Tak było z królem Karolem VIIIym i jego następcą Ludwikiem XIIym, którzy niejednokrotnie wyprawy na Neapol i Medyolan przedsiębrali. Z Neapolu wyrugowali Francuzów w pierwszych latach wieku szesnastego Hiszpanie, którzy również do królestwa tego sukcessyjne prawa mieli, i trzymali je następnie pod swoją władzą lat z górą dwieście, razem z wyspą Sycylją. Wyspa ta zaś była pod hiszpańskiem panowaniem wprzód już od bardzo dawnego czasu, bo od końca jeszcze wieku trzynastego, kiedy ją po królach poprzednich z dziedzictwa także posiedli. Neapolem i Sycylją, które się zawsze za osobne królestwo uważały, rządzili aż do początku osiemnastego wieku osobni też hiszpańscy namiestnicy.

O Medyolan dłużéj się Francuzi upierali. Waleczny król ich Franciszek Iszy, po Ludwiku XIIym nastąpiwszy, uporczywe prowadził i z rozmaitem szczęściem wojny o posiadanie tego niewielkiego lecz pięknego księstwa, z cesarzem niemieckim Karolem Vym, który był zarazem i hiszpańskim królem. Trzeba to wiedzieć, że w ciągu wieku piętnastego, kiedy już niemieccy monarchowie zgoła zaniechali Italję i do żadnéj nad nią władzy nie wdzierali się, nastąpiły też spokojniejsze czasy i w samych Niemczech; zaczął i ten kraj po długich a krwawszych daleko i bardziéj niszczących niźli we Włoszech rozruchach domowych, przychodzić do porządku, do większéj zamożności i oświaty. Korona cesarska przeszła z wyboru na książąt austryackich z możnego rodu Habsburgskiego i już w tym rodzie aż do dziś dnia pozostała, tylko że się Cesarstwo Niemieckie od niedawnych czasów (lat temu będzie pięćdziesiąt kilka) Austryackiem przezwało. Oprócz elekcyjnego państwa Niemieckiego przyszli jeszcze Habsburgowie przez małżeństwa do posiadania Hollandyi, Belgii i Hiszpanii i wielu innych krajów do niéj należących; dostały im się nadto, także przez małżeństwa i sukcessye, Czechy i Morawy i Węgry nareszcie; aż się panowanie domu tego na dwie, po Karolu Vym linje rozdzieliło: jedna królowała nad Hiszpanją, Neapolem, Sycylją, Hollandją, Belgją i niezmiernemi ziemiami w nowo odkrytéj Ameryce, druga zaś została przy Cesarstwie z Węgrami, Czechami, Morawją i Szląskiem i innemi krajami. Otóż hiszpańscy i niemieccy monarchowie, choćby z jakich bądź różnych rodów pochodzili, nigdyby nie byli temu radzi ani na to przystali, żeby Francya we Włoszech ziemie jakie posiadała, albo tam rządziła; dopieroż gdy z jednéj szli familii i gdy zwłaszcza jeden nad obu tak wielkiemi państwami panował. Tak téż i tu było o owe księstwo, że go Francuzi po najdłuższych bojach przyswoić sobie nie mogli i poszło ono w końcu, tak jak i Neapol, pod hiszpańską władzę. Wśród tych zapasów Papież, Wenecyanie i inni Włosi trzymali różnie to z tą to z tamtą stroną, wedle obawy albo nadziei, albo szczególnych korzyści swoich, nie dbając zgoła jedni o drugich, jak to rzecz jest zwykła w rozdzielonym między tylupanów narodzie. To też dawno niewidziane rzeczy świat zobaczył, gdy wojsko

cesarskie Rzym zdobywszy, papieża Klemensa VIIgo do niewoli wzięło, w któréj znaczny czas przesiedział. Cesarz Karol Vty przypomniał sobie i odnowił dawne prawa monarchów niemieckich nad Italją, i znowu po dawnemu ziemie i miasta włoskie jak zwierzchni Pan rozdawał, książąt mianował i zatwierdzał, co potém i jego następcy na Cesarstwie czynili.

Odtąd też stała się Italja i jest po dzień dzisiejszy polem ciągłéj walki między francuzką i austryacką potęgą; która to walka, choć nie raz długiemi laty przerywana, ale się odnawiała przy każdéj okazyi. Ilekroć do wojny między Francyą i Austryą przychodziło, zaraz Francuzi do Włoch się wyprawiali, czas jakiś zwycięztwa odnosili, miasta i księstwa i kraj nawet cały zabierali, ale im się nigdy nie udało statecznie usadowić; Austrya zawsze ich tam w końcu zmogła i na swojem postawiła. W późniejszych tych wojnach, to już się Włosi ani z jedną, ani z drugą potencyą nie łączyli; wyszła już z nich i reszta tego jakiego bądź ducha, co go jeszcze z dawnych czasów mieli, żeby się przecież ruszać tu i owdzie; więc tylko patrzyli jak się Francuzi z Austryakami po ich ziemi uganiają i boje zwodzą, w duszy przeklinali tych i tamtych, a kłaniali się temu kto był górą. Piemontcy tylko książęta nigdy tego tak nie znosili: choć nie wielcy, ale zawsze do każdéj wojny musieli należeć, a trzymając raz z Austryą, a drugi raz z Francyą, tak sobie zręcznie poczynali, że pomimo ciężkie klęski, za każdym prawie razem coś im z tego przybywało; dziedzictwo ich rozszerzało się ciągle, tak iż po jednéj wielkiéj wojnie, zyskawszy za swoje usługi od Austryi dużą wyspę Sardynję na morzu Śródziemnem, przybrali tytuł królewski zamiast książęcego i królami Sardyńskimi mianować się poczęli.

Reszta zaś Italii uważana była przez wielkie mocarstwa za taki kraj, którego nie potrzeba się wiele pytać, jeżeli co o nim postanowić wypadnie, i losy téj pięknéj ziemi już od niéj zgoła prawie nie zależały. Papieżom znacznie ubyło władzy i powagi jaką niegdyś mieli, a to z téj przyczyny że w wieku szesnastym wiele państw i narodów w Europie, porzuciwszy wiarę katolicką i zwierzchność Kościoła Rzymskiego, odmienne sobie religje i kościoły swoje postanowiło; z czego zaś to poszło, długoby o tem mówić, a do naszéj to rzeczy nie należy. Wenecka też rzeczpospolita przestała temi czasy wiele ważyć, jak również Genua i inne morskie miasta podupadły; bo handel morski z dalekiemi krajami, co go Włosi sami dawniéj w ręku mieli, póki tylko przez ich Śródziemne morze się odbywał, znalazł sobie odtąd inne drogi i inne też narody, jako Hiszpanie, Portugały, Holendry, Angliki i Francuzy, bardzo się do handlu tego wzięły, tak że się Włochom nie wiele już w ręku zostało.

Ale zanim do téj podupadłości przyszło, świeciła przecież Italija zdawna nabytą zamożnością, ozdobnością i oświatą, i osobliwie w owym wieku szesnastym, którego druga połowa, po wielkich jak się wspominało wojnach francuzko austryackich, w spokoju przeszła. A nigdy przedtém piękne kunszta i wszelkie nauki tak wspaniale tam nie kwitły, jak właśnie w tym przeciągu czasu. Najwięksi jakich świat widział mistrzowie w malowaniu i rzeźbieniu figur, w budownictwie i w kościelnéj muzyce i w innych trudnych a uczonych rzeczach, w szesnastym wieku wydarzyli się i tyle dzieł przecudnych natworzyli, że się im dotąd ludzie nadziwować nie mogą; uczą się z nich i naśladują, a już nic piękniejszego zrobić nie potrafią (*). Tak to Opatrzność dopuściwszy poniżenie kraju włoskiego w jedném, wywyższyła go za to w drugiem, i nie mając mocy i powagi między narodami, tem się przynajmniej Włosi pocieszać mogli, że taką mnogość uczonych i tylu znamienitych mieli artystów, że za nauczycieli całego świata chrześcijańskiego, słusznie uważali się i słynęli.

W następnym wieku, siedmnastym, cieszyły się też Włochy pokojem, który nie na długo tylko był przerywany sporami o niektóre mniejsze księstwa, zawsze między Francyą i Austryą. Wenecyanie walczyli jeszcze z turecką potęgą, ale musieli się wyrzec wielu wysp które na morzu Śródziemnem posiadali, i od tego już czasu w żadne większe sprawy nie wdawali się.

Ale za to cała prawie pierwsza połowa wieku osiemnastego pełna była klęsk wojennych,

(*) Najsławniejsi byli w szesnastym wieku włoscy malarze: Rafael Sancjo, Leonard Vinczi, Tycjan Vercelli, Antoni Korredżjo i Michał-Anioł Buonarotti rzeźbiarz też i budowniczy; w muzyce kościelnéj najpierwszy słynął Palestryna.

a nasamprzód, z powodu sporów między wielkiemi państwami o hiszpańską sukcessyę, gdyż habsburgska familja panująca w Hiszpanii całkiem wymarła. Nie wiele to Włochów obchodziło, kto tam ma hiszpańskim królem zostać; ale że znaczna część Italii, to jest Neapolitańskie królestwo z Sycylją, Sardynja też wyspa i Medyolańskie księstwo, pod hiszpańskiem berłem od tak dawna były, więc musiały i te kraje cierpieć zniszczenia wojenne, zanim się do wiedziały jakiego nowego pana dostaną. Długi czas tedy francuzkie, hiszpańskie i austryackie wojska po całych Włoszech z końca w koniec wojowały, wydzierając sobie wzajem miasta, księstwa i ziemie i wyspy; to znowu godzili się wielcy potentaci i dzielili się Włochami jak im się spodobało, dopóki do nowéj kłótni nie przyszło. Ostatnia była wojna o sukcessyę austryackiego państwa, kiedy umarł cesarz Karol VIsty, ostatni z habsburgskiego rodu, i córce swojéj Maryi Teresie wszystko swoje dziedzictwo zapisał, na co Francya i inni monarchowie przystać nie chcieli; i z téj się znów waśni Włochom dostało. Skończyło się na tem, że Medyolańskie księstwo i inne mniejsze przy Austryi zostały, a Neapol z Sycylją od hiszpańskiego panowania na zawsze oddzielono i zrobiono z nich, tak jak było niegdyś, niezależne królestwo pod rządem osobnych królów z familii Burbonów, która po Habsburgach na hiszpański tron wstąpiła, a była pochodzenia francuzkiego, to jest tego samego rodu co i królowie francuzcy. Wtedy wyspa Sardynja, jak to mówiliśmy, oddana była Piemonckim książętom, którzy od tego czasu królami Sardyńskiemi się przezwali. Nareszcie Toskańskie księstwo z pięknem miastem Florencyą, jedno ze znaczniejszych w Italii, po wymarciu książąt Medyceuszów, którzy tam około trzech wieków rządzili, przeszło pod austryackie panowanie. Na cesarskim zaś tronie w Austryi siadła familija Lotaryńskich książąt, z których był mąż owéj wspomnianéj Maryi Teresy, jedynéj habsburgskiego domu dziedziczki.

Tak więc po tyloletnich krwawych bojach, nic Francya we Włoszech nie pozyskała; Hiszpanii, co przedtem najwięcéj tam miała posiadłości, dostało się tylko parę księstw niewielkich (Parma i Placencya), a za to Austrya mocną nogą na włoskim gruncie stanęła. Będąc bowiem w pogranicznem sąsiedztwie, choć i nie tak obszerne od razu ziemie posiadła, ale też mogła ile chcieć wojska swego wprowadzić, i całe Włochy północne w ręku niemal trzymała; ile że Wenecya, od ostatnich wojen z Turkami i po upadku swego handlu całkiem osłabła; Sardyńskie też nowe królestwo, dotrzymując przez tyli czas wojowania z wielkiemi państwy nad siły swoje, choć się i zwiększyło w obszerności, ale bardzo podupadło po wojennych zniszczeniach, więc na austryacką łaskę oglądać się musiało; tem ci bardziéj reszta drobnych książątek co tam byli. Dodać do tego że podówczas i hiszpańska dawna potęga mocno się nachyliła i Francya gdzie indziéj do roboty miała, to tak się złożyło, że ani Papież w niczem sprzeczny być nie mógł, ani Neapolitańskie królestwo; bo nie było im na kogo rachować.

Słowem powiedziawszy, że przez cały już ciąg drugiéj połowy wieku osiemnastego stała się Austrya nad całemi Włochami zwierzchnikiem, i nic się tam bez niéj ani ruszyć nie mogło. Lat te kilkadziesiąt przeszło w zupełnym pokoju; kraj się do obcéj opieki jakby całkiem przyzwyczaił; o włoskiéj wspólnéj ojczyznie to już i wspomnienia prawie nie było.

Gawędy warsztatowe.

O szkołach wieczornych dla młodzieży rzemieślniczéj.

Ostatniego święta przypadły imieniny majstrowéj; serdeczne nieśliśmy życzenia téj drugiéj matce, téj prawdziwéj opiekunce naszéj. Dzień przechodził uroczyście; wieczorem zgromadziło się kilka bliżéj z majstrostwem żyjących famili, aby uczcić solenizantkę i przepędzić mile czas, na skromnéj zabawie, p. Stanisław bowiem nie dopuszczał dziś hałaśliwego tańca. Młodzież w obszernéj sali warsztatowéj zabrała się do niewinnych, a tak przyjemnych gier towarzyskich; tymczasem zaś p. Stanisław z kilku majstrami starszemi, w osobnym pokoiku obsiedli stół, na którym przy tak wielkiéj uroczystosci, ukazała się buteleczka starego miodu. Uderzono w kieliszki, a ożywczy

napój, rozjaśnił fizyognomie gości, zafrasowane obecnem, trudnem niejednego położeniem.

— Oj lepsze to czasy, lepsze, pamięta ten miodek, zagadał pan Bótnicki szewc staréj daty, człowiek poczciwy ale uprzedzony i nie lubiący żadnych nowości. Na tę uwagę wszyscy westchnęli, ten i ów zatarł czupryny i popił złocącego się w szklaneczce napoju.

— Ja sądzę, odezwał się p. Stanisław, że właśnie przeciwnie, dopiero teraz lepsze czasy nastają, a jeszcze lepsze przyjdą. Rzemieślnicy obudzili się przecież ze swéj obojętności i gnuśności, zaczynają pojmować, jak wiele im dobrego przyniesie oświata, rozmaite pożyteczne zmiany, oraz ciągłe cwiczenie się w swéj sztuce, przez poznanie ulepszeń i nowych spo sobów...

— Ot! obruszył się p. Bótnicki, już to p. Stanisław, zawsze nam prawi o tym postępie, o tych ulepszeniach, mających ułatwić robotę i zbogacić rzemieślnika, o tych zmianach któreby mu zjednały jakiś uczciwy stopień w towarzystwie. Może to kiedy będzie... nie wiem, daj Boże, ale co dziś, nie zanosi się na to; do wszystkiego tego potrzeba ludzi... a dzisiejsze pokolenie jakie jest?

— Prawda, odezwał się pan Stelmachewicz, bogaty stolarz, wyrobem posadzek, futryn i t. p. przedmiotów, zatrudniający swą fabrykę, oj prawda święta! Kiedy spojrzysz na tych co kiedyś nasze miejsce zająć mają, zamiast nadziei w lepszą dla rzemieślnika przyszłość, strachu tylko doznajesz.

—I racya, rzekł p. Bótnicki, z kogoż to utworzą się przyśli rzemieślnicy majstrowie? z czeladzi naturalnie, a jaka ta czeladź dzisiejsza, żal się Boże wspominać...

— Ja nie mogę sobie z nią dać rady! zawo łał p. Stelmachewicz. Trzydzieści lat prowadzę już fabrykę, a nigdy nie miałem takiego kłopotu z czeladzią, jak teraz. Co którego przyjmę, pobędzie tydzień, dwa i albo sam odejdzie, albo go wypędzić trzeba.

— Robić się im nie chce, robić... wtrącił któryś z biesiadników, ale przy ugodzie, to twardzi i coraz więcéj wymagający; godzisz się z niemi na dnie to nic nie robią, od sztuki stanęła ugoda, to tak fuszerują robotę, że aż strach....

— Za grosz w nich niema sumienia! zawołał inny, partaczą robotę byle zbyć, tak, iż po rządny majster nieraz się za nich i zaczerwienić musi. Słowa też nigdy nie dotrzymują a przez to narażają majstrów na ciągłe zawody. Z tego powodu o rzemieślnikach złe wyrabia się mniemanie, że to są ludzie nieuczciwi, niesłowni, a my co temu winni?

— I racya! znów przerwał p. Bótnicki. Co ja winien jestem że nie mogę roboty wystawić na czas, kiedy mój czeladnik zamiast robić, pójdzie na pijatykę? Przecież ja dziesięciu rąk nie mam, abym za wszystkich robił.

— Próżniactwo i pijaństwo w czeladzi to źródło wszystkiego złego, podniósł głos p. Stelmachewicz... Za niem idą wszelkie wady, nierząd i znikczemnienie czeladzi, zubożenie jéj zupełne, a ogromna strata dla majstrów...

— A skądże to prózniactwo, pijaństwo i bezrząd się wzięły, jeżeli nie z braku posłuszeństwa i subordynacyi chłopców względem czeladzi, czeladzi względem majstrów? zapytał się Bótnicki, silnie gładząc czuba. Dziś wprowadzają nowe jakieś zwyczaje, nowe ulepszenia, a stary porządek idzie w zapomnienie, chociaż jemu zawdzięczamy wszyscy zgromadzeni, że jesteśmy przecież ludźmi uczciwemi i przy pracy dorobiliśmy się kawałka chleba na starość. Dziś chłopak jak ma lat szesnaście a dopiero piąty rok terminu, już woła: „panie majstrze, mnie już czas się wypisać na czeladnika, dość już em się nawysługiwał... umiem swoje rzemiosło.“ Nie zrobisz czego żąda wyrostek, to krzyczą na ciebie żeś tyran, niegodziwy, że pragniesz się zbogacić cudzą pracą. Proszę, powiedz no tylko co przykrego takiemu wyrostkowi, to cię zaraz tak zamaluje słowem, że nie wiesz co rzec. Dawniéj choć chłop pod wąsem, brał rzemieniem co aż miło, gdy zasłużył... a wcześniéj nad dwudziesty piąty rok nie wyzwalał się na czeladnika nigdy.

— Taki czeladnik miał już rozum, pociągnął daléj Stelmachewicz, gdy Botnicki, uciął zasapawszy się nieco długą mową, miał naukę i wiedział jak sią prowadzić. Przytém szedł na wędrówkę, poznawał ludzi, doskonalił się w rzemiośle. Po powrocie był człowiek całą gębą pracowity, zdatny, uczciwy... nieżal mu też bylo choćby własną córkę dać za żonę i pomódz, by sobie warsztat założył. Tym sposobem z biednéj czeladzi powstawali uczciwi majstrowie i dorabiali się majątku i znaczenia w miejskiem obywatelstwie.

— I racya! a teraz któremu z czeladników, powierzyłbyś swoje dziecko i warsztat, gdy się sam zestarzejesz?! zawołał z zapałem p. Bótnicki. Zrobiłbyś tak chyba po to, aby nicpoń dorwawszy się majsterstwa, starego ojca wypędził na dziady do Dobroczynności, a warsztat i dobytek zmarnował...

— Oj prawda... prawda...

— Źle z dzisiejszą czeladzią! Nicponie!

— Próżniaki! pijaki... robić się im nie chce; odzywały się zewsząd głosy biesiadników.

— Nie ma subordynacyi, posłuszeństwa... nowe wchodzą zwyczaje, grzmiał p. Bótnicki.

— Narzekacie już długo, odezwał się nakoniec milczący dotąd p. Stanisław, na dzisiejszą czeladź. To coście tu powiedzieli, jest powiększéj części słuszne. Czeladź jest zła, lubi próżnowanie, kocha się w kieliszku, zabrnęła w długi i niedbalstwo, słowa nie umie dotrzymać, starszych nie chce słuchać. Prawda to wszystko, lecz kto temu winien jeżeli nie majstrowie, jeżeli nie wy to sami? Czy nie ogrodnik winien, kiedy przez brak pracy, staranności, dbałości, obiecująca początkowo płonka, wyrosłszy w drzewo, gorzkie mu rodzi owoce? Wszyscy się na to zemną zgodzicie, iż chcąc zbierać plon obfity, trzeba rolę uprawić i dobrze ją zasiać. Dziś zmieniły się czasy, okoliczności i warunki. Można było dawniéj wykropić wyrostka pocięglem... trzymać go jako terminatora do dwudziestu pięciu lat, wyzwolić go późniéj i wysłać z kilkoma talarami na wędrówkę. Teraz to już zrobić się nie da. Zamiast więc założyć ręce i krzyknąć: wszystko stracone, należy pomyśleć czy niema jakich sposobów zapobieżenia złemu. Pan Bótnicki powiedział, iż żródłem wszystkiego złego jest rozwolnienie subordynacyi, nieprzeczę, subordynacya jest potrzebną, ale zdaje mi się, że nie taka, która się opiera na pocięglu lub rzemieniu, ale ta, co wypływa z szacunku, z przywiązania. Niech terminator lub młody czeladnik znajdzie w majstrze przykład poczciwości, rządności, niech w nim widzi sprawiedliwego opiekuna, ojca przybranego, a niezawodnie będzie słuchał jego rozkazów i szedł w jego ślady.

— Pięknie powiedziane! przerwał ktoś z towarzystwa.

— A czyż majstrowie obchodzą się ze swemi terminatorami, ze swoją czeladzią młodą po ojcowsku? Narzekacie chórem na czeladź, że zła, a gdzież się ona wychowuje jeżeli nie u was? Powiedziałem *wychowuje*—ale źlem się wyraził, rzeczywiście bowiem wy jéj nie wychowujecie... gdyż długą, zmudną naukę praktyczną rzemiosła, nie nazywam wychowaniem...

Nieposłuszna czeladź, harda, pije, ale się rządzi, a skądże to pochodzi jeżeli nie z braku wszelkiéj oświaty, wiadomości co piękne, co dobre, pożyteczne? Przyjmujecie do terminu chłopaka zwykle ubogich rodziców, którzy nie mogli mu dać żadnego wychowania, i zamiast zająćsię niem, używacie go do lichych posług i posyłek, przyzwyczajając raczéj do próżniactwa, niż do pracy...

— I racya! ale pozwól kochany p. Stanisławie, zawołał przerywając Bótnicki... trudno nam przecież łożyć na terminatora, posyłać go do szkoły, bo kiedyżby się uczył rzemiosła? A zresztą nieraz i nie odwdzięczyłby się chłystek, za nasze dobre i koszta...

— Nikt też tego nie żąda, abyście czynili co nad wasze siły, odparł p. Stanisław. Róbmy co możemy, a i to już będzie dosyć. Zapewne, żywić chłopaka, często go i odziewać, a jeszcze posyłać do szkoły, żaden majster nie może. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby młodych terminatorów, zwykle używanych więcéj do posyłek niż do pracy, na parę godzin co dzień oddawać do zakładu, gdzie darmo jego wychowaniem moralnem i nauką się zajmą.

(Dokończenie nastąpi.)

O wpływie lasów na zmniejszenie upałów i zimna.

—

W gorące dni letnie, kiedy nam pracującym w polu słońce dopieka, wybieramy zwykle na odpoczynek miejsca ocienione drzewem. Święta Opatrzność posadziła je tam dla nas, a dała im mnóstwo płaskich, szerokich liści, tak jedne nad drugie zachodzących, że promień słońca, zaledwie tylko gdzie niegdzie przecisnąć się między nimi potrafi i traci swą palącą siłę. Już pod tym drzewem, ziemia mniéj rozpalona, a kto się tam schronił mniéj na spiekę jest wystawiony.

Cisną się też ludzie i zwierzęta, pod owe błogie drzewin cienie.

Liście zasłaniając nas, zasłaniają i siebie od słonecznych promieni, i te co są po środku gałęzi, zawsze chłodniejsze od tych, co po wierzchu rosną; aleć i te pobrzeżne wiszą na cienkich szypułkach i tak się kołyszą, odchylają, trzęsą, że jako tako słońca unikają. Między nimi wszystkiemi jakoś roskosznie i ożywczo. Cisną się też ptaszęta i owady, w owe pożądane cienie. Wielka więc latem wygoda i z jednego drzewka. Postawmy takich drzew krocie i wejdźmy w ich gęstwinę. Ziemia tam dobrze ocieniona i w najtęższy upał bywa chłodnawą, równie chłodnemi są gałęzie i liście, a świeżość od nich bije aż w górę, po nad drzew wierzchołki.

Niechże teraz powiew, skwarnego, południowego wiatru, spotka po drodze ten las gęsty, rozległy i chłodem przejęty. Minąć go nie może, nad nim wszystek nie przeleci, przedziera się więc pomiędzy drzewami, trąca o tysiące tysięcy liści wilgotnych, zimniejszych, i na drugą stronę lasu wybiega ostudzony i zwilżony. Miło, zdrowo nim oddychać wszelkiemu stworzeniu. Pola, łąki i ogrody tylko czekają na wietrzyk taki. Oj! zwiędłyby one, zżółkły, zmarniały, gdyby nie owe gęstwiny, gdyby wiatry sunąc nad rozognionymi od słońca piachami i stepami, pędząc po nad bezleśną, gorącą krainą, rozpalały się same coraz więcéj i tak skwarne, duszące, buchały wciąż na zboża i trawy. *Tak więc lasy zmniejszają na ziemi ciężki upał letni.* Bóg, Ojciec nasz Niebieski, tak świat doskonale urządził, że każda rzecz stworzona, wielkie i rozmaite zarazem przynosi korzyści. *Te lasy, co nas chłodzą latem, zimą zasłaniają od mrozu.* Nie mówię tu o drzewie i węglu, jaki nam lasy dają na opał, bo jakkolwiek i w tem jest bardzo wielka dogodność, jednakże ludzie mają ogień i z torfu, z węgla kopalnego, z trzciny i słomy. Idzie mi tutaj, o złagodzenie mroźnego powietrza w kraju całym, dla wszystkich stworzeń żyjących, dla roślin, wód, dla budowli i dzieł rąk ludzkich. Wszystkiemu ogniem ciepła nie dasz i ogniaby nawet nie starczyło, lasy stojące, najskuteczniejszą w tem przysługę niosą.

Zimową porą najgroźniejsze dla nas są wiatry północne. One to pędząc gdzieś tam od mórz lodowatych, po nad śniegu zaspami, po nad skrzepłą bagien przestrzenią, oziębiają się coraz więcéj, przejmują i mrożą wszystko, co spotykają po drodze. Przyczyniają się one wielce do srogości zimy. Wszakże mocny mróz w dniu cichym, nie dokucza nam tyle, ile mniejszy w dniu wietrznym, a cóż dopiero w dniu burzliwym.

Takie rozhukane, a mroźne wiatry wpadają w gęstwinę lasu. Wprawdzie, nie zastają tam liści na wielu drzewach, ale na wszystkich spotykają konary i gałęzie, od téj właśnie północnéj strony mchem okryte, śniegiem i szronem osypane, a więc pogrubiałe i chropowate, a więc zapędy wiatru dzielnie wstrzymujące. I wiatr dotąd niedościgły, nim się na drugą stronę lasu przewieje, zwalnia swój bieg, łagodnieje i niejako ociepla się.

Mógłbym więcéj jeszcze przytoczyć okoliczności i dowodów, jako lasy mają wielki, a dobroczynny wpływ na powietrze latem i zimą, ale mniemam, że to co powiedziałem zachęci już was do oszczędzania lasów. Spodziewam się także, że niejeden z was przekonany o tem jak lasy są potrzebne, postara się wszędzie gdzie tylko jest miejsce i możność po temu, zaprowadzać młode lasy. Kto zaś lasów zasiewać nie może, ten także nie małą usługę krajowi wyświadczy, jeżeli dziedzińce, drogi i miedze drzewami zasadzać będzie.

PRZED WROTAMI.

Przed wrotami, stoi wrony,
Przy nim Jasio uzbrojony,
Nogę ma w strzemieniu,
Już chce siadać w Imie Boga,
Wtem go Kasia woła z proga,
Po słodkiem imieniu:

„Wstrzymaj wodze, opuść rękę,
Zanim ruszysz na wojenkę,
Zanim na koń siędziesz;
Powiedz jeszcze zapytany,
Jasiu, Jasiu, mój kochany,
Kiedy pisać będziesz?“

„Przyleci tu kruk z krukami,
I na piórkach pod piersiami,
Lisciczek maleńki,
Własną ręką wypisany,

Ciepłą krewką punktowany,
Przyniesie z wojenki.“

Rzekł Jaś Kasi, zarżał wrony,
Na nim Jasio uzbrojony,
Krzyknął sobie „dana“
I już jedzie w Imie Boga,
Wtem do niego Kasia z proga,
Leci zadyszaną.

„Wstrzymaj wodze, wstrzymaj rękę,
Zanim ruszysz na wojenkę,
Zanim chatę rzucisz;
Powiedz jeszcze, zapytany,
Jasiu, Jasiu mój kochany,
Kiedy ty powrócisz?‘

„Kiedy z gruszy, jak od matki,
Sfruną razem wszystkie kwiatki,
Jak gołąbki białe;
Kiedy baśki spadną z sosny,
I wydadzą bek radosny,
Jak owieczki małe;

Kiedy z Krzyża nade drogą,
Zstąpi Jezus bosą nogą,
Przed nim pierzchną węże;
I z żołędzi pod dębami
Wzrastać będą szeregami,
Gdyby dęby, Męże;

Szukaj wtedy mnie na ziemi
Pod dębami zielonemi,
Tam stać będę w rzędzie,
Gdy obejrzysz się w około
I zobaczysz z krésą czoło
To twój miły będzie.“

Rzekł Jaś Kasi, zarżał wrony,
Na nim Jasio uzbrojony,
Pędzi nucąc: „dana“
A przy staréj Bożéj męce,
Przed wrotami łamie ręce
Kasia zapłakana.

Różności.

Dnia 12 Grudnia 1861 r. zmarł w Warszawie Tomasz Potocki, człowiek wielce zasłużony krajowi, niegdyś oficer b. Wojsk Polskich, a w ostatnich czasach członek Rady Stanu. Tomasz Potocki, przez całe życie pracował nad polepszeniem losu włościan i w tym celu drukował przez siebie napisane dzieła, a na posiedzeniach b. Towarzystwa Rolniczego, występował z wnioskami niskiego kapitalizowania czynszów, co prędko mogłoby do własności włościan doprowadzić. Zostawił po sobie piękne wspomnienie człowieka szczerze miłującego swój kraj. Ciało pochowane w Koniecpolu.

— W Prużanach w Litwie, zgromadzeni obywatele na zwyczajny powiatowy sejmik, na wniosek p. Michała Borejszy uchwalili: 1) oczynszowanie włościan, zaraz po Nowym Roku w stosunku 6% wartości majątków; 2) zniesienie propinacyi po wsiach; 3) zawiązanie komitetu powiatowego do załatwienia ogólnych interesów rolniczych, handlowych i przemysłowych powiatu. Uchwały te, jeżeli wejdą w wykonanie, przyniosą niewątpliwą korzyść krajowi. Są one prócz tego pięknym dowodem, obywatelskiego ducha i najlepszych chęci Prużańskich obywateli dla włościan, które w końcu rozproszą nieufność tychże do szlachty, utrudzającą ze szkodą samychże włościan sprawę oczynszowania i uwłaszczania.

— Kupcy w Lublinie, postanowili przed kilko tygodniami, w niedziele i święta zamykać sklepy, jak to już weszło w zwyczaj w Warszawie. Słuszne to postanowienie, boć święto przeznaczone jest na modlitwę i odpoczynek a nie na zwykłe zatrudnienie.

— Nakładem J. Glücksberga, w Warszawie wyszedł Kalendarz ludowy z obrazkami na rok 1862, który kosztuje tylko groszy 20.

— Gazeta Rolnicza wychodzić będzie w Warszawie i w 1862 r. Jest ona najtańszém pismem rolniczem w Polsce, bo kosztuje kwartalnie złp. 6 gr. 10.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80 — półrocznie kop. 90 — kwartalnie kop. 45 — miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaję się przytem, że w jednéj kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnéj dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — Warszawa dnia 22 Grudnia 1861 roku.